

40136

I

SZ.

PAN

KONSTANTY SCHMIDT

(Ciężyński)

i jego zbiory.



W KRAKOWIE,

W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem J. Łakocińskiego.

1883.

40136

I



Osobne odbicie z „CZASU” — Nakładem Redakcyi.

Obiegła dzienniki pogłoska, że pan Schmidt podarował miastu bogate muzeum kamei i gemm. Jest w tem nieco prawdy. Pan Schmidt przeznaczą zbiory swoje dla Muzeum narodowego, ale pod pewnym warunkiem wypłacania dożywocia, warunkiem dla obu stron korzystnym.

Lecz kto jest ten pan Schmidt? Kto słyszał o zbiorach jego? Kto zna go w kraju? — Takie pytanie zadaje sobie niejeden, takie pytanie zadajemy sobie nieraz, gdy od czasu do czasu wynurzy się za granicą polskie nazwisko, u nas niesłyszane.

Mając sposobność rokowania z p. S. od dłuższego czasu, mogę ciekawość zaspokoić. — Pan Schmidt dobiegający już niemal siedmiu krzyżyków, jest nasz rodak, syn lekarza wojsk polskich z czasów księcia Konstantego, po matce piszący się Ciążyński. Część życia przepędził w Petersburgu, ożenił się w Rosyi. Tam od młodu zajął się z zapalem zbieraniem kamei. Zapał antykwarjusza wywiódł go z Rosyi do krajów, gdzie handel starożytnościami w rozkwicie — do Włoch. Tu dłuższy czas bawił jakoteż we Francyi, lecz główną siedzibę obrał w Londynie.

Tu nabrał rozgłosu, jako znawca i handlarz starożytnościami. Kosztowne pamiątki, dzieła sztuki, porcelany, wazy cenione na dziesiątki tysięcy, mo-

nety itp. przechodziły przez jego ręce, wymieniane lub sprzedawane. Jedno tylko zdaje się nie ubywało, gdy do rąk jego dostało się, to jest kameje.

Tym sposobem urosła kolekcya, którą w drukowanym ogłoszeniu nazwał zbiorem starożytności i przedmiotów sztuki różnych epok, egipskich, greckich, bizantyńskich, odrodzenia, Ludwika XIII, Ludwika XIV, Ludwika XV, Ludwika XVI.

Cóż w tej kolekcyi widzimy?

1) Starożytności egipskie. Było ich dawniej 300 numerów. Obecnie 175 sztuk z kamienia, emalii i bronzów. Skarabeje, bożki, Sfinksy, zwierzęta i t. p., zebrane przez niego przez lat wiele w Egipcie.

2) Cylindry z napisami klinowemi i figurami, babilońskie, egipskie, fenickie i assyryjskie.

3) Pieczętki, amulety, ornamentyka w kamieniu, fenickie, kufickie, assyryjskie, Assasidów, persopolitańskie.

4) Talizmany (amulety) wschodnie, kamienne fenickie, kufickie, Abbasidów, Koptów.

5) Zbiór kamei i starożytnych kamieni rżniętych w liczbie tysiąca sztuk, greckich i rzymskich, jakoto popiersia monarsze, bóstw, maski komiczne, zwierzęta, ptaki, płazy, z napisami greckimi i łacińskimi.

6) Kamienie rżnięte greckie i rzymskie w podobnym rodzaju.

7) Kameje epoki bizantyńskiej i odrodzenia. Głowy sławnych osób, przedmioty mitologiczne, gnostika z pierwszej epoki chrześcijaństwa.

8) Kameje i rżnięte kamienie najslawniejszych mistrzów z wieku XVII do XIX. Nazwiska artystów są: Amastini, Anesi, Beltrami, Berźni, Brown, Calandrelli, Cesarri, Cérbara, Cocchi, Colombo, Coldore, Dean, Doela, Dorelli, Frey, Girometti,

Guay, Hecker, Jeuffroy, Monsuetti, Marchant, Mastini, Malatesta, Mario da Péscia, Philer, Pilher, Pozzi, Raviel, Rega, Santarelli, Talani, I. A. i M. T. Walter.

Jestto zbiór dla nas niezmiernie ciekawy, bo nie mamy zbiorów w tym kierunku. W tej kolekcji nazwisk brakuje tylko naszego mistrza Regulskiego, którego przepyszne dzieła dochowuje rodzina, w Warszawie mieszkająca.

9) Kamienie rżnięte nieznanymi artystów, portrety i mitologiczne bóstwa.

10) Kamienie rżnięte etruskie, figury i inne przedmioty.

11) Kameje i kamienie rżnięte z różnych materiałów drogich jak kryształ, rubin, szafir, onyx, agat, jaspis, granat, kalcedon, quarnacino itd.

Jest około 300 złotych pierścieni.

Zbiór ten cenił sobie p. Schmidt na parękroć sto tysięcy franków i miał na miejscu w Londynie propozycję to renty, to sprzedaży do Ameryki za 10,000 funtów.

Uczucie jednakowoż polskie przemagało w nim. Chociaż z kraju za młodu wyszedł, i z krajem stosunki zerwał, nie zapomniał mowy i nie zwinął serca. Pragnął skarby swoje pozostawić narodowi. Nieświadomy jednak stosunków, zwrócił się pierwotnie nie do kraju, lecz do miejscowości, która chce kraj reprezentować.

Doszły ręk jego ogłoszenia muzeum w Rapperswylu. Muzeum to powstało w jesieni r. 1869 i miało za zadanie zbieranie tylko wyłącznie pamiątek historycznych polskich, w dokumentach i aktach, wyświecających epoki zbrojnego dobijania się o niepodległość.

W tym celu wynajęto od miasta zrujnowany zamek, a raczej pierwsze piętro, podjęto onegoż odnowienie, i osiedlono się, płacąc roczny czynsz

nie wielki. Tak czytam w ogłoszeniu Villa Broelberg 17 września 1869. W innem ogłoszeniu z 1 lutego 1870, czytam przeciwnie, że miasto ofiarowało swój starożytny zamek. O czynszu, mającym się płacić niema tu wzmianki. W sprawozdaniu z marca 1871 dowiaduję się, że założyciel muzeum osobiście stał się posiadaczem części zamku z mocy cessyi na lat 99. Tym sposobem nie jest to własność, lecz wynajem na pewną lat liczbę. Mimo tego założyciel aktem z roku 1871 nieznanej osnowy zrzekł się własności zamku, ofiarując go narodowi pod opieką niewiadomej mi dotąd instytucyi w Galicyi i rządu federalnego szwajcarskiego. Jestto atoli własność (jak obecnie) na lat 85 (licząc posiadanie 99-letnie od r. 1869). Zrzeczenie założyciela ostatecznie aktem z 8-go grudnia 1873 roku, zatwierdzone przez władze miejscowe.

Założenie muzeum, bezpiecznego od zaboru, z myślą zwrócenia go w latach niepodległości narodowi, uzyskało poklask ogólny i poparcie, mianowicie w Galicyi. Mężowie zasług niespożytych, jak Kraszewski i Lenartowicz przyłożyli rękę do tego dzieła, a ostatni wieszcząc, że katedrę krakowską, zbiory archeologiczne, czeka los Warszawy, Wilna i Częstochowy, napiera na ogałacanie dzielnic ojczystych na rzecz Rapperswylu.

Mnie zawsze to usuwanie roślin z niw ojczystych do cudzych cieplarni, z racyi, że je może kiedyś przechodzić podeptać, lub złośliwie pozrywać, wydało się potwornem, szkodliwem i sumieniu narodowemu wstrętnem, ogoławającym Polskę dobrowolnie z pamiątek, z tymże a nawet z gorszym skutkiem, niż ogoławanie jej przez najezdników.

Nieszczęśliwe następstwa rozbioru Polski wywołały ten nienaturalny stan w ustroju społeczeństwa naszego, iż tworzymy Polskę zarówno w prowincjach składowych Rzeczypospolitej, jak i w odległych stronach świata. Prąd wychodźstwa dobrowolnego i przymusowego faluje bez przerwy z mniejszem lub większem ciśnieniem, a ludzie, którzyby mogli w kraju nawet w warunkach najuciążliwszych przynieść pożytek i podnosić moralnie siłę odporną, grupują się na obczyźnie z własnej ochoty, około pewnych ognisk cywilizacyjnych i tam kolonizują Polskę sztuczną. Z tych ognisk rozchodzą się hasła do kraju szczere, uczciwe, patryotyczne, lecz na nieszczęście w kraju niezrozumiałe, bo wyrosłe po za krajem, nie liczące się ze stosunkami i z warunkami miejscowymi, nie znające społeczeństwa w kraju, które co pokolenie przeistacza się Polska z roku 1831 nie była Polską z r. 1846, a ta znów wcale odmienną fizyonomii od Polonii z roku 1863. Dziś w lat dwadzieścia, nowe pokolenie ledwie z tradycyi wie o wyobrażeniach roku 1831 lub 1863. Pojęcia, przekonania, zasady, grunt uczuciowy nawet odmienny.

Nic więc dziwnego, że ci, którzy opuścili kraj przed laty, nie rozumieją stosunków danych miejscowych, obecnych w kraju. Choć więc w słowach ich zabłyśnie ogień zapału, ogień ten dolatując do kraju, sprawia wrażenie racy, gdzieś tam w górze pękającej i gasnącej, po której tylko dym przemknie.

Wyojczyznianie się dobrowolne (o koniecznem, klęskami kraju wywołanem, nie mówię), jest u nas chorobą pospolitą, jest klęską niepowetowaną. Z niego tworzy się legion Polaków w teorii, lecz cudzoziemców w praktyce; Polaków uczuciem, cudzoziemców życiem; myślących o Ojczyźnie, ale

czyny święcących dla obczyzny. I dzieje się, że dzieci i wnuki Polonii, już zapominają języka i tradycyi.

Dla nas, którzy nawykliśmy nie odbiegać od ognisk ojczystych, którzy umiemy łamać się, naciskowi opór stawiać i języka przygryść, i ból okrasić uśmiechem, byleby nie opuścić stanowisk w kraju, widok tej Polski teoretycznej po za krajem, narzucającej nam wyobrażenia, przekonania i kierunki niezgodne z tem, co możliwem jest, co dopuszczają okoliczności danej chwili — jest zawsze widokiem bardzo przykrym. Radbym zawołać do nich: Zgromadźcie się wśród nas, pracujcie razem z nami, znoście pospólną dolę — a wówczas będziemy słuchać głosu waszego.

Za utworzeniem się tej teoretycznej Polski za granicą, poszło tworzenie się zagranicznych zbiorów polskich. Takiego tworzenia u innych ludów nie przedstawia nam historia. Greczyn lub Serb dręczony przez Turka, nie tworzył zbiorów greckich lub serbskich w Paryżu, Florencyi itp.

My inną idziemy drogą. Jeszcze po roku 1831 gromadzenie zbiorów w Paryżu było zrozumiałem, bo tam kwiat Polonii wojującej osiadł. Lecz i te zbiory, już po pięćdziesięciu latach stały się ciężarem i czy wcześniej czy później, muszą powrócić do Ojczyzny, jeżeli tej Ojczyźnie służyć mają.

Sztuczne tworzenie innych zbiorów polskich za granicą z tej tylko racyi, że zbiory w kraju narażone są na możliwy zabór i wywiezienie, zdaje mi się nienuzasadnionem, a nawet szkodliwem, zabójczem dla kraju. Owo zastrzeżenie, że formują się zbiory, aby je kiedyś niepodległej Polsce powrócić, jest tylko pięknem powiedzeniem, teoretyczną tezą, ale praktyka zbiera z tego najgorsze dla Ojczyzny owoce.

Dlatego nigdy nie mogłem pogodzić się z celami i potrzebą powstania Muzeum Rapperswylskiego. Założyciel Polak w teoryi, ale żyjący poza krajem i nieznający stosunków, ani ludzi w kraju, jest tu w praktyce co do wyobrażeń Polakiem na cudzoziemskim gruncie przeistoczonym. A przecie z temi wyobrażeniami liczyć się godzi.

Z tego stanowiska biorąc myśl założyciela Muzeum Rapperswylu, — uznaję, iż chęci miał szczerze, patryotyczne i uczciwe, lecz ze stanowiska naszego miejscowego polskiego, widzę tylko teoryę: że kiedyś możemy być przez nieprzyjaciela ogołoceni z pamiątek, a zatem winniśmy już dziś uprzedzić wroga i sami ogołocić kraj własny z tego, co nam najdroższe.

I czy istotnie ogołacamy się dla bezpiecznego przechowania pamiątek? Bynajmniej. Sam Rapperswyl nie daje nam rękoi.

Piękna rzecz dar narodowi, ale dar bez ciężarów, bez ofiar pieniężnych.

Otóż sam zamek Rapperswyl nie może być narodowi darowany, bo po 85 latach, odrestaurowany wielkim funduszem z całej Polski gromadzonej, musi być zwrócony właścicielowi, to jest miastu, jako najmującemu. Zbiory są obciążone długiem, który powiększa się co roku. Dług ten wykazuje założyciel jako zaliczkę przez siebie daną. Aby zaliczkę ową darował narodowi, o tem niema dotąd mowy. Jestto jego prywatna pretensya do narodu.

Tak przynajmniej sądzić mam prawo. Bo gdy w Krakowie zawiązała się Akademia Umiejętności, założyciel ofiarował tejże zbiory Rapperswylskie z zastrzeżeniem zaspokojenia długu, nie po mnę wysokości jego, lecz zda mi się 175,000 fr. Że Akademia odmówiła przyjęcia daru za grubą kwotę, to rzecz naturalna, ale nienaturalnemi

były wówczas krzyki dzienników polskich, że Akademia nie przyjęła wspianiałomyślniej ofiary założyciela Muzeum.

Nie wiem, jak dzisiaj kwestya długu stoi, lecz nigdzie niema śladów, by dług ten był przez założyciela umorzony na rzecz narodu. Owszem w r. 1871 czytam, że przewyżka w rozchodzie wynosi 120,370 fran., w r. 1873 przewyżka wynosi 137,146 fran., jako kapitał zaawansowany przez Wł. Platera.

W r. 1874 dług ciężący 155,594 fr. W roku 1875 dług 167,422 fr., a nadto kapitał znaczny, lecz niewyrażony, dany na kupno zbiorów po Leonardzie Chodźce.

W sprawozdaniach z lat 1879 i 1881, kwestya dochodów dotknięta, ale rozchody szczegółowe pominięto, tylko krótko nadmieniono, że przewyżka w rozchodzie pokrytą została przez założyciela.

Zatem Wł. Plater jest dotąd wierzyicielem zbiorów muzealnych; wierzytelność ta w roku 1879 wynosiła 211.420 fran. Jak długo zatem założyciel za życia swego nie zrzeknie się na rzecz narodu owych dwukroć sto tysięcy franków, tak długo Muzeum narodowe jest problematyczną własnością Polski, bo dług corocznie rośnie, i ktoś go raz zaspokoić musi. Inaczej może przyjść fatalna godzina sprzedaży zbiorów na cetnary i funty, a to za długi co roku zaciągane.

Może się mylę co do tego, ale tak mi się rzecz przedstawia z odczytania kilkudziesięciu drukowanych aktów, dotyczących Rapperswylu.

Dlatego to nigdy nie miałem ani wiary, ani ufności w narodowe skarby, oparte na długach.

Kiedy więc panna A. W., Amerykanka rodem, ale narodowości polskiej i przywiązana do Krakowa, w którym lat kilka spędziła, zawiadomiła

mnie, że zbiory p. Schmidta mają iść do Rapperswylu, i że możnaby je od zatury uratować, umyśliłem zbiory te ocalić.

Pan Schmidt nie wiedział o istnieniu zbiorów w Krakowie i nie dowierzał pannie W., gdy mu o Jagiellońskiej Bibliotece, o Akademii i o Muzeum narodowym mówiła. Zawiazałem więc z nim niezwłocznie stosunek, wyłożyłem mu zapatrywania moje, które go przekonały. Następstwem tego było, że paki już oddane do wysyłki za granicę, zwróciły się na Kraków.

Pierwszą przesyłkę już otrzymałem; są w niej: Obraz Van Dyka, portret hr. Digby (na drzewie); dwa obrazy na drzewie, portrety burmistrza z Harlem i jego żony, malowane przepysznie, podobno pędzla Van der Höhrta; obraz na drzewie Józ. Verneta, widok nadbrzeża morskiego w Marsylii; obraz rodzajowy Mierisa; kilkadziesiąt akwarel wspaniałych Rocchiego, Florentyńczyka; dwie śliczne akwarelle pani Pompadour; odlewy fresków Partenonu. Druga paka już nadeszła, lecz jeszcze nieocłona; są tam druki odnoszące się do historii sztuki, i różne monety, krzyż metalowy, maski starorzyskie i t. p. Trzecia paka jest w drodze.

Te zbiory są niejako dodatkowe do kolekcji kamei i gemm, i część ich główna ma się dostać do Muzeum narodowego. Zgodził się albowiem p. Schmidt, aby zbiory jego pomieściły się w Krakowie.

Mając to jego zapewnienie, porozumiałem się z p. marszałkiem Zyblikiewiczem i hr. Arturem Potockim, którzy mi przyrzekli poparcie w obmyśleniu renty dla p. Schmidta; następnie odniosłem się do p. prezydenta Weigla i wiceprezydenta p. Muczkowskiego, którzy z całą gotowścią zajęli się tem, aby niezwłocznie wysłać do

Wiednia proponowanych przezemnie znawców pp. Cieszkowskiego i M. Sokołowskiego, którzyby porozumieli się z p. Schmidtem. Tenże równocześnie zjechał ze swemi skarbami z Londynu. Rozpatrywali je delegaci, rozpatrywał jeden z największych znawców w Europie, kustosz muzeów cesarskich w Wiedniu, p. Fryderyk Kenner.

Ocenienie zbiorów wypadło świetnie. Znawcy orzekli, iż zbiór kamei jest niezrównany. Dwa tylko tych rozmiarów istnieją w Europie, to jest w Eremitarzu i zbiór Wiedeński. Kraków zajmie trzecie miejsce, a jak zapewnia p. Kenner, kustosz muzeów cesarskich, będą badacze zjeżdżać do Krakowa, aby czynić studia nad kameami.

Tak więc, jeżeli umowa z p. Schmidtem dojdzie do skutku, Muzeum narodowe zawdzięczać będzie panie W. odrazu wzrost swój olbrzymi i swoje europejskie znaczenie.

ESTREICHER.

